Księga utraconych zapachów

M. J. Rose

Prolog

Chiński rząd zakazuje żyjącym buddom reinkarnacji bez zezwolenia

Pekin, 4 kwietnia 2007 rok

Żyjącym buddom tybetańskim ateistyczni przywódcy Chin zakazali reinkarnacji bez zezwolenia. Zakaz ten został ujęty w nowych przepisach mających na celu umocnienie zwierzchnictwa Pekinu nad zbuntowanymi mieszkańcami Tybetu.

Dzięki takiemu zapisowi chińskie władze będą mieć pewność, że nie pojawi się nowe wcielenie Buddy, co może zwiastować koniec mistycznego systemu, którego początki sięgają dwunastego wieku.

W ten sposób chiński rząd, jako jedyna władza, będzie aprobować mianowanie dwóch najważniejszych mnichów tybetańskich, dalajlamy i panczenlamy. Oświadczenie obecnego dalajlamy, z maja 1995 roku, że w Tybecie odnaleziono jedenastą inkarnację panczenlamy, zmarłego w 1989 roku, rozwścieczyło władze w Pekinie. Chłopiec wskazany przez dalajlamę zniknął.

(z artykułu Jane Macartney w brytyjskim dzienniku „Times")

Rozdział pierwszy

Aleksandria, Egipt, 1799

Giles L'Etoile był mistrzem woni, nie złodziejem. Nigdy niczego nie ukradł, raz tylko skradł serce pewnej kobiecie, która zresztą twierdziła, że oddała mu je dobrowolnie. Ale tego chłodnego egipskiego wieczoru, gdy schodził po rozchwianej drabinie do starożytnego grobowca, z każdym niepewnym krokiem zbliżał się ku przestępczości.

Przed L'Etoile'em zeszli badacz, inżynier, architekt, artysta, kartograf i, oczywiście, sam generał — erudyci z napoleońskiej armii intelektualistów i naukowców mieli wkraść się do świętego miejsca pochówku, które pozostawało nietknięte przez tysiąclecia. Kryptę odkrył dzień wcześniej badacz Emile Saurent wraz z grupą egipskich chłopców. Przestali kopać, gdy natrafili na zapieczętowane kamienne wrota. Dwudziestodziewięcioletni Napoleon miał być pierwszym, który zobaczy to, co leżało tu zaginione i zapomniane od tysięcy lat. Nie było dla nikogo tajemnicą, że marzył o podbiciu Egiptu. Jego wielkie ambicje wykraczały jednak poza podbój militarny. Pragnął poznać i opracować historię starożytności.

Na dole L'Etoile dołączył do pozostałych, zgromadzonych w słabo oświetlonym westybulu. Wciągnął w nozdrza zapach wapienia i tynku, stęchłego powietrza i ciał robotników, a także ledwie wyczuwalną nutkę innej woni.

Cztery kolumny z różowego granitu, o podstawach niewidocznych pod warstwą pyłu i gruzu, podtrzymywały sklepienie, gdzie na intensywnie lazurowym tle widniała srebrna mapa nieba. W murze wyciosano kilka otworów na drzwi, z których jedne były większe od innych. Saurent próbował naruszyć ich gipsową plombę.

Subtelne i precyzyjne malowidła ścienne w pięknych kolorach ziemi sprawiały wrażenie tak żywych, że L'Etoile niemal spodziewał się poczuć farbę, ale docierał do niego jedynie zapach wody kolońskiej Napoleona. Zaciekawił go stylizowany motyw lilii wodnych na obrzeżach krypty i obramowaniu malowideł. Egipcjanie nazywali te kwiaty niebieskimi lotosami i od tysięcy lat wykorzystywali ich esencję zapachową do wyrobu perfum. Trzydziestoletni L'Etoile, który już dziesięć lat poświęcił studiom nad tą skomplikowaną starożytną sztuką, dobrze znał lotosy i ich właściwości. Miały przepiękną woń, lecz tym, co odróżniało je od innych kwiatów, było działanie halucynogenne. Pod jego wpływem osobiście doświadczał ulgi w chwilach, gdy wracała do niego przeszłość, wypierając teraźniejszość.

Oprócz lotosów dostrzegł też inne motywy roślinne. Na jednym z malowideł robotnicy wybierali w spichlerzach nasiona z worków, na kolejnych obsiewali grządki, doglądali kiełkujących pędów, kwiatostanów i drzew, a następnie przycinali gałęzie, zbierali kwiaty, zioła i owoce. Ostatni obraz przedstawiał ich, jak niosą plony zmarłemu, tak przynajmniej sądził L'Etoile, i składają dary u jego stóp.

W miarę jak kolejne warstwy tynku opadały na alabastrową posadzkę, Abu, przewodnik, którego wynajął Saurent, objaśniał zgromadzonym znaczenie malowideł. Mówił ciekawie, ale woń potu, płonących knotów i kredowego pyłu z wolna obezwładniała L'Etoile'a. Zerknął na generała. Jeśli sam z trudem to znosił, Napoleon musiał cierpieć znacznie bardziej. Miał tak wrażliwy nos, że nie tolerował wokół siebie pewnych służących, żołnierzy i kobiet, których zapach mu nie odpowiadał. Opowiadano o jego długich kąpielach i nadużywaniu wody kolońskiej — stworzonej specjalnie dla niego kompozycji cytrusów, mięty i rozmarynu. Generał kazał nawet sprowadzić z Francji szczególny gatunek świec (oświetlały teraz mroczną komorę grobowca). Wosk do ich produkcji pozyskiwano ze skrystalizowanego tranu kaszalota, dzięki czemu wydzielały łagodniejszy zapach.

Obsesja Napoleona stanowiła jeden z powodów, dla których L'Etoile wciąż przebywał w Egipcie. Generał naciskał, aby został dłużej — chciał go mieć do swojej dyspozycji. L'Etoile nie protestował. Wszystko, co w Paryżu kiedyś wiele dla niego znaczyło, utracił sześć lat temu w czasie rewolucji francuskiej. W ojczyźnie nie czekało na niego nic prócz wspomnień.

Gdy Saurent kończył zbijać ostatnią warstwę tynku, L'Etoile podszedł bliżej, żeby dokładnie się przyjrzeć głębokim rzeźbom w drzwiach. Tu także spostrzegł obramowanie z niebieskich lotosów wokół kartuszy pełnych tajemniczych hieroglifów, jakie widywało się w całym Egipcie. Nowo odkryty kamień z portowego miasta Rosetta mógł dostarczyć wskazówek, jak tłumaczyć te znaki.

— Gotowe — oznajmił Saurent. Podał narzędzia jednemu z egipskich chłopców i otrzepał ręce. — Generale?

Napoleon zbliżył się do portalu i spróbował przekręcić

wciąż błyszczącą mosiężną obręcz. Zakasłał. Nacisnął mocniej. Był szczupły, niemal wychudzony, ale L'Etoile miał nadzieję, że zdoła jednak otworzyć drzwi. W końcu ustąpiły z głośnym skrzypnięciem, które odbiło się echem w całej grocie.

Saurent i L'Etoile stanęli na progu wraz z generałem. Wszyscy trzej unieśli świece, żeby rozjaśnić wnętrze grobowca. W migocącym bladożółtym świetle ich oczom ukazał się korytarz pełen skarbów.

Jednak to nie wymyślne malowidła na ścianach w przedsionku, nie alabastrowe słoje, nie misterne rzeźby czy skrzynie pełne skarbów zapamiętał L'Etoile na resztę życia, lecz ciepły, słodki zapach, który z miejsca go owionął.

Wyczuwał w nim śmierć i historię. Delikatne nuty zwiędłych kwiatów, owoców, ziół i drewna. Większość znał. Ale poczuł też nowe, nieznajome — właściwie ledwie je rejestrował, ale tym bardziej hipnotyzowały go, fascynowały, mamiły i pociągały, jak piękne marzenie, w którym można całkiem się zatracić.

Zlekceważył napomnienia Saurenta, który ostrzegał go, że wchodzi na niebezpieczne terytorium, gdzie mogą czekać pułapki i zwinięte w kłębek węże. Nie posłuchał przestróg Abu, który bardziej niż węży bał się duchów. L'Etoile, z pojedynczą świecą, zanurzył się w głąb krypty, ignorując generała i pozostałych. Nie potrafił się oprzeć tajemniczej woni.

Przeszedł bogato zdobionym korytarzem do wewnętrznego sanktuarium i głęboko odetchnął pradawnym powietrzem, próbując wyczuć w nim coś więcej. Podenerwowany, wypuścił powietrze, niechcący gasząc świecę.

Być może powodem były te głębokie oddechy, być może — wszechobecny mrok. Być może to stęchłe powietrze sprawiało, że kręciło mu się w głowie. Tak czy inaczej, gdy

zwalczył zawroty głowy, tajemniczy zapach dotarł do niego z większą mocą, wyostrzając zmysły. W końcu zaczął rozpoznawać poszczególne składniki. Żywicę i mirrę, niebieski lotos i olejek migdałowy. Wszystkie stosowano powszechnie w egipskich perfumach i kadzidłach. Ale wyczuwał coś jeszcze, coś ulotnego, co mu umykało.

Stał samotnie w ciemności, w tak olbrzymim skupieniu, że nie usłyszał zbliżających się kroków pozostałych członków grupy.

— Co to za zapach?

Drgnął na dźwięk głosu i odwrócił się do Napoleona, który właśnie wszedł do wewnętrznej komory.

— Pachnidła niewdychanego od wieków — wyszeptał L'Etoile.

Abu wyjaśnił, że znajdują się teraz w komorze grobowej. Wskazał na malowidła ścienne w żywych kolorach. Jedno z nich ukazywało zmarłego, który na duży posąg mężczyzny nasadzał głowę szakala i składał jedzenie u stóp człowieka-zwierzęcia. Za jego plecami gibka, prześliczna kobieta w przezroczystej tunice trzymała tacę flakonów. W następnej scenie zapalała kadzielnicę, z której unosił się dym. Kolejne malowidło przedstawiało szakala pośród słojów, tłoczni i alembików — przedmiotów, jakie L'Etoile pamiętał z perfumerii ojca w Paryżu.

Zdawał sobie sprawę z tego, jak wielką wagę przywiązywali do zapachów starożytni Egipcjanie, jednakże nigdy wcześniej nie widział aż tylu obrazów odnoszących się do wyrobu i wykorzystania perfum.

— Kim był pochowany tu mężczyzna? — spytał Napoleon. — Można to teraz ustalić?

— Jeszcze nie, generale — odparł Abu. — Ale wkrótce

znajdziemy więcej wskazówek.

Skinął ręką w kierunku środkowej części pomieszczenia.

Stylizowany sarkofag z czarnego granitu był pięć razy większy od przeciętnego człowieka. Na wypolerowanej powierzchni widniały rzeźbione kartusze oraz inkrustowany turkusami i lazurytem wizerunek pięknego mężczyzny przypominającego kota. Jego głowę zdobiły niebieskie lotosy. L'Etoile od razu go rozpoznał: Nefertum, syn Izydy. Bóstwo zapachów.

Sceny na malowidłach, motyw lilii wodnych, kadzielnice we wszystkich kątach pomieszczenia — nagle wszystko nabrało sensu. Był to grobowiec starożytnego egipskiego perfumiarza. A sądząc po majestatyczności sarkofagu, kapłan ten cieszył się wielkim szacunkiem.

Saurent wywrzeszczał rozkazy do swoich pomocników i po chwili zmagań młodzi mężczyźni podnieśli kamienne wieko. Wewnątrz znajdowała się szeroka drewniana trumna, na której widniały kolejne sceny z udziałem dwojga ludzi przedstawionych na malowidłach. Wieko trumny udało się otworzyć bez większego wysiłku.

W środku leżała ogromna mumia dziwnego kształtu — normalnej długości, lecz co najmniej o połowę za szeroka — poczerniona asfaltem z Morza Martwego. Zamiast jednej miała dwie misternie wykonane złote maski, ozdobione turkusami i lazurytami, a także napierśniki ze złota, karneolu i ametystów. Maski różniły się między sobą tylko tym, że ta z prawej strony przedstawiała twarz mężczyzny, a ta z lewej — kobiety.

— Nigdy nie widziałem niczego podobnego — wyszeptał w zdumieniu Abu.

— Co to oznacza? — spytał Napoleon.

— Nie wiem, generale. To jest absolutnie niezwykłe — wyjąkał Abu.

— Odwiń ją, Saurent — rozkazał Napoleon.

Mimo protestów Abu, Saurent polecił swoim ludziom rozciąć płótno i odkryć ciało. Francuz im płacił, więc się nie sprzeciwiali. L'Etoile wiedział, że starożytna technika balsamowania zwłok z użyciem olejków zapachowych i maści, a także suche powietrze powinny zapobiec rozkładowi mięśni i tkanek zmarłego. Być może zachowały się nawet włosy. Widywał mumie już wcześniej. Fascynował go ich słodki zapach.

W kilka minut rozcięto i odwinięto poczerniałe bandaże.

— Nie. Czegoś takiego nigdy nie widziałem — szepnął Abu.

Zwłoki z prawej strony nie miały rąk skrzyżowanych na piersi, jak to było w zwyczaju. Wyciągniętą prawą ręką mężczyzna obejmował dłoń kobiety, z którą został zmumifikowany. Splatali się palcami. Tych dwoje kochanków, których ciała oparły się rozkładowi, wyglądało tak realistycznie, jakby pochowano ich kilka miesięcy temu, nie przed wiekami.

Wszyscy mruczeli w zdumieniu, patrząc na tę parę, nierozłączną nawet po śmierci, lecz L'Etoile'a to nie poruszyło. W końcu odnalazł źródło zapachu, którym był tak zaintrygowany, gdy schodził po drabinie.

Starał się oddzielić znajome nuty od tych całkiem mu nieznanych, wychwycić tajemniczy składnik, który nadawał kompozycji obietnicę nadziei, długich nocy i zmysłowych snów, zachęty i czułych objęć. Wiecznego przymierza pełnego możliwości. Zagubionych dusz połączonych na nowo.

Oczy napełniły mu się łzami, gdy znów wciągnął powietrze. To był zapach, jaki zawsze pragnął stworzyć. Rozpoznawał w

nim czyste uczucie. Giles L'Etoile czuł zapach miłości.

Ogarnęła go rozpacz. Co nadawało tej woni taką złożoność? Dlaczego była tak ulotna? Czemu nie potrafił jej rozpoznać? Znał i pamiętał ponad pięćset różnych składników. Co zawierała ta kompozycja?

Gdyby tylko istniała maszyna potrafiąca oddzielić poszczególne składniki powietrza. Dawno temu rozmawiał o tym z ojcem. Jean-Louis wyśmiał ten pomysł, podobnie jak inne mrzonki i wynalazki syna. Ganił go za brak praktycznego podejścia i niemądry romantyzm.

„Zapach potrafi przywoływać uczucia, papo — upierał się L'Etoile. — Wyobraź sobie, jaką zbilibyśmy fortunę, sprzedając marzenia, a nie tylko formuły".

„Nonsens — oburzał się ojciec. — Jesteśmy chemikami, nie poetami. Mamy za zadanie maskować smród ulic i odór ciał, ulżyć zmysłom atakowanym przez nieprzyjemne, wstrętne i obrzydliwe zapachy".

„Nie, ojcze. Mylisz się. Poezja jest istotą tego, co robimy".

Bez względu na zdanie ojca L'Etoile był pewien, że zapach może ofiarowywać coś więcej. Że ma głębsze znaczenie. Dlatego przyjechał do Egiptu. I przekonał się, że miał rację. Starożytni perfumiarze byli kapłanami. Pachnidła odgrywały ważną rolę w świętych obrzędach i rytuałach religijnych. W dymie z kadzidła dusza unosiła się ku niebu.

Generał podszedł bliżej, żeby dobrze przyjrzeć się mumiom. Gdy sięgał do trumny, Abu wyszeptał słowa ostrzeżenia. Napoleon zbył go machnięciem ręki i wyjął z dłoni mężczyzny niewielki przedmiot.

— Nadzwyczajne — stwierdził. Identyczne gliniane naczynie spoczywało w dłoni kobiety. — Trzymają to oboje.

Otworzył pierwszy flakonik, potem drugi. Minęła chwila.

Generał pociągnął nosem, wąchając oba.

— L'Etoile, zdaje mi się, że zawierają identyczną kompozycję zapachową. — Podał mu jedno z naczyń. — Czy to pomada? Poznaje pan?

Mały flakonik mieścił się w dłoni. Glazurowany na biało, ozdobiony misternym wzorem z turkusów i korala oraz hieroglifami na brzuścu. Zaginionego języka starożytnych nikt nie potrafił odczytać. Ale L'Etoile go czuł. Dotknął woskowatej powierzchni. A więc to tutaj tkwiło źródło zapachu, który przywiódł go do tej komory.

Nie miał zdolności przewidywania. Ani parapsychologicznych. L'Etoile był wrażliwy tylko na jedno: na zapach. To dlatego w wieku dwudziestu lat, w 1789 roku, opuścił Marie-Genevieve i Paryż dla suchego, upalnego powietrza Egiptu — pragnął zgłębić magiczne, hipnotyzujące wonie tej starożytnej kultury. Jednak żaden z zapachów, które dotąd odkrył, nie mógł się równać z tym, co teraz trzymał w ręku.

To pachnidło było mocne, intensywne, poczuł, jak unosi się na jego skrzydłach, z dala od grobowca, w przestrzeń, w niebo, ku księżycowi, ku brzegom rzeki, gdzie czeka wiatr i chłód wieczoru.

Coś się z nim działo.

Pamiętał, kim jest — synem najświetniejszego w Paryżu perfumiarza i rękawicznika. I wiedział, gdzie jest — z generałem Napoleonem Bonaparte w podziemnym grobowcu w Aleksandrii. A jednocześnie czuł, że przeniósł się w czasie i siedzi obok pewnej kobiety nad brzegiem szerokiej zielonej rzeki, w cieniu palm daktylowych. Czuł, że znał ją od zawsze, choć zarazem wydawała się obca.

Była piękna — wysoka i smukła. Miała gęste czarne włosy

i czarne oczy wypełnione łzami. Jej ciałem, osnutym cienką bawełnianą tuniką, wstrząsał szloch, który przeszywał go na wskroś. Instynktownie wiedział, że źródłem jej cierpienia było coś, co zrobił bądź czego nie zrobił, i że tylko on może ukoić jej ból. Musiał zdobyć się na poświęcenie. Inaczej jej los będzie go dręczyć przez wieki.

Zdjął długą płócienną szatę, jaką wkładał na kilt, i zanurzył jej rąbek w wodzie, żeby otrzeć policzki. Kiedy pochylił się nad wodą, zobaczył w niej odbicie swojej twarzy, w której jednak się nie rozpoznawał. Zobaczył kogoś młodszego. Dwadzieścia pięć lat? Najwyżej. Ten ktoś miał ciemną, złocistą skórę, inną niż L'Etoile i ostre rysy, podczas gdy jego były łagodne. A oczy czarnobrązowe zamiast jasnoniebieskich.

Usłyszał głos z oddali.

— Spójrzcie. Tu jest papirus.

Głos wydał mu się znajomy. Głos Abu. Ale równocześnie słyszał tętent końskich kopyt. Kobieta też je słyszała. Na jej twarzy odmalował się strach. Odrzucił szatę i ujął dłoń kobiety, chcąc zaprowadzić ją w bezpieczne miejsce.

Dobiegał go krzyk. Ktoś upadł na niego. Na alabastrową posadzkę spadły skorupy glinianego naczynia. Znów był w grobowcu. Piękna melancholijna twarz zniknęła i zobaczył Abu, który kurczowo ściskał gruby zwój papirusu i wpatrywał się w rozbity gliniany flakonik.

Emanujący z niego zapach wszystkich wprowadził w osobliwy trans, jednak L'Etoile otrząsnął się pierwszy. Wokół powstał chaos. Mężczyźni szeptali, płakali i krzyczeli w nieznanych mu językach. Wydawało się, że walczą z niewidzialnymi demonami, wrogami, wspomagani przez niewidocznych towarzyszy.

Co się z nim stało? Co działo się teraz z pozostałymi

mężczyznami?

Jeden z młodych egipskich pomocników przywarł do ściany i z uśmiechem na twarzy śpiewał pieśń w starożytnym języku. Drugi leżał na podłodze, jęcząc, a trzeci wymierzał ciosy niewidocznemu napastnikowi. Dwaj członkowie grupy, którzy nie ulegli przywidzeniom, przyglądali się temu ze zgrozą. Saurent klęczał rozmodlony, z błogim spojrzeniem, i recytował pacierze po łacinie. Kartograf uderzał pięścią w mur, wykrzykując bez końca imię jakiegoś mężczyzny.

L'Etoile odnalazł wzrokiem Napoleona. Generał zastygł w bezruchu obok sarkofagu i wpatrywał się w punkt na ścianie, jakby spoglądał przez okno na pejzaż w oddali. Był bledszy niż zwykle, na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Wyglądał na chorego.

Istniały zapachy, które łagodziły pewne dolegliwości, i inne, które sprowadzały chorobę; trucizny uwodzące słodyczą, zanim wyssą ostatnie tchnienie. Ojciec opowiadał mu o nich i ostrzegał przed ich działaniem.

Teraz, tutaj, bał się o siebie, o generała i resztę. Czyżby wszyscy zostali otruci tajemniczym starożytnym zapachem?

Musiał temu zaradzić. Ze sterty skarbów leżących pod ścianą wziął małe złote pudełko, otworzył je, wysypał zawartość — złoto i kolorowe szkiełka — na podłogę, po czym włożył do środka nienaruszony flakonik. Następnie w pośpiechu zebrał skorupy naczynia, które upuścił generał, wrzucił je do pudełka i zamknął wieczko.

Zapach wciąż był wyczuwalny, ale gdy flakoniki zostały zamknięte, powietrze powoli zaczęło się oczyszczać. L'Etoile patrzył, jak mężczyźni jeden po drugim wstają i rozglądają się wokół, zdezorientowani.

Rozległ się głośny łoskot. Napoleon upadł na drewnianą

trumnę, roztrzaskując wieko. L'Etoile słyszał plotki, że generał cierpi na padaczkę, tę samą chorobę na tle nerwowym, która dotknęła jego bohatera, Juliusza Cezara. Teraz miał pianę na ustach i trząsł się w konwulsjach.

Adiutant podbiegł do niego i pochylił się nad nim.

Czyżby atak wywołało tajemnicze pachnidło? Z pewnością wpłynęło na L'Etoile'a. Zawroty głowy i dezorientacja, jakich doświadczał, odkąd wszedł do grobowca, teraz dopiero zaczynały ustępować.

— To miejsce jest przeklęte! — krzyknął Abu. Wrzucił zwój papirusu z powrotem do trumny, na wyschnięte ciała. — Musimy natychmiast stąd wyjść!

Wybiegł z wewnętrznej komory i popędził przez korytarz.

— Grobowiec jest przeklęty... — powtarzali drżącym głosem młodzi pomocnicy, przepychając się za nim przez wąskie przejście.

Pozostali także ruszyli do drzwi.

Adiutant Napoleona — który tymczasem przyszedł do siebie, choć nadal był słaby — pomógł mu wyjść. L'Etoile został sam w komorze grobowej starożytnego perfumiarza i pochowanej razem z nim kobiety.

Pochylił się nad kochankami, wyjął z trumny zwój papirusu i włożył go do małego złotego pudełka, które następnie schował do torby.

Rozdział drugi

Nowy Jork, obecnie
Wtorek, 10 maja, godzina 8.05

Kiedy Jac L'Etoile miała czternaście lat, mitologia ocaliła jej życie. Z tamtego roku pamiętała wszystko. Zwłaszcza to, o czym chciała zapomnieć. W najdrobniejszych szczegółach. Zawsze tak jest.

Nastolatka, która czekała na nią teraz przed studiem telewizyjnym na Czterdziestej Dziewiątej Zachodniej, z pewnością nie miała więcej niż czternaście lat. Chuda, niezdarna, podekscytowana i stremowana, niczym młody źrebak, podeszła i wyciągnęła przed siebie egzemplarz książki Jac *Poszukiwacze mitów*.

— Mogę prosić o autograf, panno L'Etoile?

Jac właśnie wystąpiła w porannym talk-show, gdzie promowała swoją książkę, ale w żadnym razie nie była celebrytką. Jej własny program w telewizji kablowej, również zatytułowany *Poszukiwacze mitów*, oglądało niespełna milion widzów, więc spotkania takie jak to były w równym stopniu zaskakujące co przyjemne.

Samochód, który zamówiła, stał na jałowym biegu przy krawężniku. Kierowca czekał przy drzwiach pasażera. Ale Jac

donikąd się nie śpieszyła. Nie czekał na nią nikt prócz duchów.

— Jak masz na imię? — spytała.

— Maddy.

Jac wyczuła od niej lekki cytrusowy zapach. Nastolatki zwykle wybierały takie zapachy. Wyjęła pióro i zaczęła pisać.

— Dobrze jest wiedzieć, że bohaterowie istnieją naprawdę — odezwała się Maddy ściszonym głosem. — Że ludzi stać na coś naprawdę niezwykłego.

Głośna, zatłoczona ulica, przy której mieściło się studio, raczej nie sprzyjała tak intymnym wyznaniom, ale Jac pokiwała głową i posłała Maddy porozumiewawczy uśmiech.

Od tak dawna dręczyło ją podobne pragnienie.

Kiedy zajęła się poszukiwaniem źródeł mitów — podróżując do odległych starożytnych miejsc, odwiedzając muzea, prywatne zbiory i biblioteki, oglądając ruiny minionych cywilizacji — wyobrażała sobie, że jej odkrycia okażą się zajmujące i kształcące. Dlatego starała się szukać faktów w nagromadzonych przez wieki legendach, a w mitycznych postaciach odnajdować zwykłych śmiertelników. Pisała o tym, że bohaterskie czyny były w istocie mało ważnym, często wręcz przypadkowym działaniem. Tłumaczyła, że śmierć bohaterów rzadko nosiła znamiona wzniosłości, ale kronikarze zwykle wyolbrzymiali rzeczywistość, tworząc metafory, które miały za zadanie kształcić i inspirować.

Wierzyła, że obala mity. Że przywraca im właściwy wymiar. Tymczasem okazało się, że robi coś wręcz odwrotnego.

Wiedza o tym, że mity w gruncie rzeczy opierały się na faktach — że starożytni herosi, bogowie, fatum, furie i muzy w pewnej formie istnieli naprawdę — przywracała jej widzom i czytelnikom nadzieję.

To dlatego fani pisali do Jac listy z podziękowaniami,

dlatego jej program już drugi rok nie schodził z anteny, dlatego nastolatki w rodzaju Maddy prosiły ją o autograf.

I dlatego Jac czuła się jak oszustka.

Wiedziała, że wiara w bohaterów może ocalić życie, ale nadmierne przywiązanie do pompatycznych fantazji może równie łatwo je zniszczyć. Nie podzieliła się tą wiedzą z Maddy. Skończyła pisać dedykację, oddała dziewczynie książkę, podziękowała i wsiadła do samochodu.

*

Trzy kwadranse później poczuła zapach wysokich sosen i zakwitłych niedawno judaszowców, co oznaczało, że dojechali na cmentarz Sleepy Hollow, przycupnięty w porośniętej bujną zielenią dolinie rzeki Hudson. Podniosła wzrok znad lektury na okazałą bramę z kutego żelaza.

Samochód przejechał przez bramę. Jac ściągnęła wstążkę przytrzymującą jej niesforne loki i znów okręciła nią włosy. Dwukrotnie. Od dziecka zbierała wstążki i miała ich całą kolekcję — atłasowych, rypsowych, z aksamitu, mory i żakardu. Zwykle wynajdowała je w sklepikach ze starzyzną, w koszach ze ścinkami. Siedem metrów tej z kremowego atłasu znalazła na poplamionej szpulce z napisem „Czerń żałobna".

Szofer dojechał główną aleją cmentarza do rozwidlenia, gdzie skręcił w prawo. Jac zawiązała i na powrót rozwiązała długi biały szal, wypatrując przez szybę znajomej granitowej kuli z krzyżem, zdobiącej dach. Kierowca lawirował między wąskimi alejkami wśród nagrobków, mauzoleów i pomników.

Od stu sześćdziesięciu lat wszyscy członkowie rodziny ze strony matki byli chowani na tym wiktoriańskim cmentarzu, usytuowanym wysoko na skarpie nad rzeką Pocantico. W

towarzystwie tak wielu krewnych, uśpionych w tym zarośniętym miejscu pochówku, czuła się dziwnie jak w domu. Nieswojo, niepewnie, ale jak u siebie, choć to była kraina umarłych.

Kierowca zaparkował przy zagajniku akacji, wysiadł i przeszedł na drugą stronę, żeby otworzyć Jac drzwi. Zdecydowanie pokonało obawę — wysiadła ledwie po paru sekundach wahania.

W cieniu drzew stanęła na schodkach bogato zdobionego mauzoleum w stylu greckim i włożyła klucz do zamka. Nie pamiętała, żeby wcześniej miała problem z otwarciem drzwi, ale tym razem z dziurki od klucza wysypało się mnóstwo rdzy. Być może zamek uległ korozji. Szarpiąc się z nim, zauważyła, że liczne szpary między kamiennymi blokami po prawej stronie drzwi wypełniły się mchem.

Trzy głowy z brązu wieńczące nadproże, narażone na działanie warunków atmosferycznych, pokryły się rdzą. Przyglądały się jej — Życie, Śmierć i Nieśmiertelność. Patrzyła na nie, obracając klucz w zamku.

Korozja, która zaatakowała Śmierć, paradoksalnie złagodziła jej rysy, zwłaszcza wokół zamkniętych oczu. Palec, przyłożony do ust, zmuszający je do wiecznego milczenia, niszczał, podobnie jak wianek z maków — symbol snu u starożytnych Greków.

W przeciwieństwie do dwojga starszych towarzyszy Nieśmiertelność była młoda, jednak wąż owinięty wokół jej głowy, z ogonem w pysku, pokrył się czarnozieloną patyną, niestosowną w przypadku starożytnego symbolu wieczności. Tylko motyl na czole, symbol ludzkiej duszy, wciąż wyglądał nieskazitelnie.

Jac wciąż walczyła z zamkiem. Myśl, że nie uda jej się wejść,

przyprawiała ją niemal o zawrót głowy. Ale nagle zapadki szczęknęły uroczyście i w końcu zdołała przekręcić klucz. Popchnęła drzwi. Zawiasy zastękały niczym stary człowiek. Natychmiast owionął ją kredowy zapach kamienia i stęchłego powietrza, zmieszany z wonią gnijących liści i wyschniętego drewna. „Zapach zapomnianych", tak go nazywała.

Stanęła w progu i zajrzała do środka.

Światło późnego poranka, sączące się przez dwa witrażowe okienka z motywem fioletowych irysów, oblewało wnętrze melancholijną ciemnoniebieską poświatą i wydobywało z mroku kamienną postać anioła na ołtarzu. Leżał twarzą ku ziemi, lecz jego żal zdradzały delikatne palce z marmuru, zwieszone na piedestale, i opuszczone skrzydła, których końce muskały podłogę.

Pod każdym z dwóch okienek spoczywały alabastrowe urny z ofiarami, jakie Jac przyniosła w zeszłym roku — gałązki kwitnących jabłoni, teraz zwiędłe i wysuszone.

Na granitowej ławce pośrodku małego pomieszczenia siedziała kobieta. Patrzyła na Jac wyczekująco, ze znajomym i smutnym uśmiechem. Spowijało ją błękitne światło, które rozlewało się na nogach Jac.

„Bałam się, że nie przyjdziesz". Cichy głos zdawał się dochodzić z powietrza wokół przezroczystej zjawy, nie od niej samej.

Ona nie jest rzeczywista, upomniała siebie Jac, wchodząc i zamykając za sobą drzwi. Duch matki był złudzeniem. Wytworem wyobraźni. Pozostałością po chorobie. Ostatnim znamieniem tych strasznych czasów, gdy twarz, którą Jac widziała w lustrze, należała nie do niej samej, lecz do kogoś nieznajomego z odległej przeszłości. Gdy miała absolutną pewność, że jej szkice ołówkiem przedstawiały nie wymyślone

pejzaże, ale miejsca, w których kiedyś żyła i które pragnęła odnaleźć. Gdy słyszała krzyki ludzi chowanych żywcem... palonych żywcem... chociaż nie słyszał ich nikt inny.

Miała czternaście lat, kiedy po raz pierwszy przemówiła do niej zmarła matka. W kilka godzin po śmierci. Potem mówiła do niej codziennie, potem coraz rzadziej. Ale odkąd Jac wyjechała z Francji i zamieszkała w Ameryce, słyszała jej głos tylko raz w roku. Tu, w grobowcu, w każdą rocznicę jej odejścia. Matka opuściła swoją córkę zbyt wcześnie, w dramatycznych okolicznościach. Audrey zmarła w perfumerii, w otoczeniu najpiękniejszych zapachów świata. To Jac ją znalazła i nigdy nie opuściło jej to wspomnienie — makabryczne i zarazem zmysłowe. Woń róż i lilii, lawendy, piżma, paczuli, wanilii, fiołków i werbeny, olejku sandałowego i szałwii, a do tego martwe otwarte oczy, wpatrzone w nicość. Twarz, dotąd zawsze tak żywa, nagle znieruchomiała. Wyciągnięta ręka... jakby w ostatniej chwili Audrey przypomniała sobie o czymś i chciała po to sięgnąć.

Wciąż ściskając w ręku świeże gałązki kwitnącej jabłoni, które przyniosła ze sobą, Jac przemierzyła kryptę i położyła kwiaty na marmurowej podłodze obok antycznej urny. Miała zadanie do wykonania. Kiedy wyjmowała zeszłoroczne, obumarłe gałązki, rozsypały się, zaśmiecając posadzkę. Przyklękła i kantem dłoni zgarnęła suche resztki na kupkę. Mogła kogoś zatrudnić do corocznego sprzątania, ale podczas tych wizyt wolała zająć się czymś namacalnym i konkretnym.

Nie była jedynaczką, lecz do krypty zawsze przychodziła sama. Przypominała bratu o tej dacie, za każdym razem mając nadzieję — choć nigdy się nie spodziewając — że Robbie przyjedzie. Oczekiwania prowadzą tylko do rozczarowań. Nauczyła ją tego matka, która ostrzegała córeczkę, żeby nie

ulegała kuszącym obietnicom, jakie przynosi życie.

„Żeby przeżyć — mawiała — trzeba mierzyć się z faktami". Twarda lekcja — może nawet szkodliwa — dla dziecka jeszcze nie dość dużego, żeby zastanowić się, od kogo pochodzi ta wskazówka: od kobiety, która sama nie potrafiła pójść za własną radą. „Urodziłaś się w rodzinie marzycieli. Ale jest różnica między tym, co rzeczywiste, a tym, co na niby. Rozumiesz? To ci pomoże. Obiecuję".

Istniała też różnica między dziecięcymi marzeniami Jac i marzeniami innych ludzi. Jej pełne były okropnych hałasów i przerażających wizji. Gróźb, przed którymi nie było ucieczki. A Robbie lubił fantazjować. Wierzył, że pewnego dnia odnajdą księgę zapachów, którą ich przodek przywiózł z Egiptu, i wykorzystają zawarte w niej formuły do stworzenia cudownych eliksirów. Ilekroć o tym wspominał, patrzyła na niego z protekcjonalnym uśmiechem starszej siostry. „*Maman* powtarzała, że to tylko zmyślona historia", mówiła.

„Nie, papa uważa, że to prawda", argumentował Robbie. Biegł do biblioteki po starą, oprawną w skórę książkę do historii, która zawsze leżała otwarta na właściwej stronie. Wskazywał na sztych Pliniusza Starszego, rzymskiego pisarza i filozofa. „On widział księgę woni Kleopatry. Pisze o tym tutaj".

Nie chciała pozbawiać go złudzeń, ale powinien przecież zrozumieć, że była to mocno przesadzona historia. Gdyby potrafiła go o tym przekonać, być może sama by w to uwierzyła.

„Możliwe, że istniał spis perfum wytwarzanych w warsztacie Kleopatry, ale my go nie mamy. I nie ma czegoś takiego jak Zapach Pamięci, przywołujący wspomnienia. Nasi przodkowie wymyślili tę bajeczkę, żeby przydać Domowi L'Etoile egzotycznej aury. Od ponad dwustu lat nasza rodzina tworzy i produkuje perfumy, które sprzedaje się w naszym sklepie.

Tylko perfumy, Robbie. Mieszanki olejów i alkoholu. Nie marzenia. Nie fantazje. To czyste wymysły, Robbie. Dla zabawy".

Matka nakazywała jej ostrożność wobec rozmaitych opowieści. Tych wymyślanych celowo. I tych, które przychodzą nieproszone. „Nawet jeśli są przerażające i nie pozwalają o sobie zapomnieć, masz nad nimi kontrolę", mówiła Audrey ze znaczącym spojrzeniem. Jac rozumiała. Matka dawała jej wskazówki. Pomagała radzić sobie z tym, co różniło je obie od innych.

Jednakże, mimo tych porad, urojenia niemal doprowadziły Jac do obłędu. Jej wizje, dostatecznie koszmarne za życia Audrey, po śmierci matki jeszcze się nasiliły. A Jac w żaden sposób nie potrafiła przekonać samej siebie, że nie są jedynie wytworem wyobraźni.

Miesiącami lekarze przepisywali jej leki i terapie, które nie tylko nie pomagały, lecz czasem sprawiały wręcz, że czuła się jeszcze bardziej obłąkana. W końcu jeden z lekarzy zajrzał do jej wnętrza i ją zrozumiał. Nauczył ją wydobywać treść tych lęków, tak jak perfumiarze wydobywają esencje zapachowe z kwiatów. Potem wraz z nią próbował nadać sens poszczególnym kropelkom jej halucynacji pełnych krzyków i krwi. Pokazał jej, jak odnajdować symbolizm w urojeniach i jak je interpretować za pomocą mitologicznych i duchowych archetypów. Symbole, tłumaczył, niekoniecznie odnoszą się do czyjegoś rzeczywistego życia. Raczej stanowią część zbiorowej podświadomości. Archetypy to język uniwersalny. Dzięki tym wskazówkom Jac miała rozszyfrować istotę swojej udręki.

W jednej z najokropniejszych powracających wizji była uwięziona w płonącym pokoju wysoko nad apokaliptycznym

miastem. Jedna ze ścian składała się z samych okien. Ogień się rozprzestrzeniał, a ona rozpaczliwie próbowała otworzyć któreś z nich. Gdyby udało jej się wydostać, wiedziała, że na wielkich, półprzejrzystych skrzydłach, przypiętych do pleców, uleci w bezpieczne miejsce.

Gdzieś niedaleko słyszała ludzkie głosy — chociaż wydawało się to niemożliwe, zważywszy na ryk szalejącego ognia. Wołała o pomoc. Ale nikt nie śpieszył jej na ratunek. Czekała ją śmierć.

Z pomocą lekarza Jac przeanalizowała swoją podświadomość i rozpoznała wątki mitu o Dedalu i Ikarze. Różnica — dzięki której zrozumiała znaczenie tego snu — polegała na tym, że Jac w swoim koszmarze była sama. Opuścili ją matka i ojciec. Nawet jeśli Ikar zlekceważył ostrzeżenie ojca, to jednak ojciec był przy nim i służył mu radą. Tymczasem nikt nie ostrzegł Jac, aby nie leciała zbyt blisko słońca i morza. Została sama. W pułapce. Skazana na śmierć w płomieniach.

Zdobywanie wiedzy o archetypach i symbolach było pierwszym krokiem na długiej drodze, która doprowadziła ją do napisania *Poszukiwaczy mitów*, w następstwie czego wymyśliła swój program w telewizji kablowej. Zamiast wytwarzać perfumy, jak jej brat, ojciec i dziadek, Jac badała źródła starożytnych mitów. Przywracała je do życia, żeby nadać im ziemski charakter. Podróżowała między Atenami, Rzymem i Aleksandrią, odwiedzała stanowiska archeologiczne i studiowała archiwa, szukając dowodów na istnienie osób i zdarzeń, którym nadano rangę mitów.

Jac chciała pomóc ludziom zrozumieć, że w opowieściach zawarte są metafory, nauki i mapy — ale nie prawda. Magia może być niebezpieczna. Ważna jest rzeczywistość. Nie ma Minotaurów. Potworów. Jednorożców, wróżek ani duchów. Istnieje granica między faktem a fantazją. I w dorosłym życiu

nigdy nie traciła jej z oczu.

Wyjąwszy chwile, kiedy przychodziła tutaj — rok w rok, dziesiątego maja, w rocznicę śmierci matki.

*

Światło zadrgało. Jac wiedziała, że to chmury suną po niebie, ale sprawiało to wrażenie, jakby anioł zaczął oddychać. Cudownie byłoby wierzyć, że kamienny anioł przebudził się do życia. Że istnieją bohaterowie, którzy nigdy nie zawodzą. Że matka naprawdę mówi do niej zza grobu.

„Ależ tak", usłyszała Jac w odpowiedzi na niewypowiedziane myśli. „Wiesz, że tak. Myślisz, że nie powinnaś mi wierzyć, że to dla ciebie zbyt niebezpieczne, ale porozmawiaj ze mną, kochanie. To ci pomoże".

Jac wstała i zaczęła odwijać z celofanu kwiaty jabłoni, które przyniosła. Nigdy nie przemawiała do zjawy. Matki tak naprawdę tam nie było. Jac widziała ją tylko przez anomalię swojego mózgu. Dawno temu na biurku ojca znalazła obraz z rezonansu magnetycznego i przeczytała list od lekarza.

Miała wtedy czternaście lat — chociaż nawet teraz musiałaby sprawdzić w słowniku pewne zawarte w nim terminy. Tomografia wykazała lekki niedobór substancji białej w płacie czołowym, gdzie czasami umiejscawiano źródło chorób psychicznych. Co dowodziło, że to nie pod wpływem bujnej wyobraźni czuła, że wariuje, lecz z powodu wykrytej przez lekarzy nieprawidłowości.

Nie bardzo jednak wiedzieli, jak ją leczyć. Na dłuższą metę rokowanie dla pacjentki wydawało się niepewne. Jej stan mógł się utrzymać na obecnym poziomie albo też dwubiegunowość mogła przybrać na sile.

Lekarz zalecił natychmiastową terapię i zażywanie

psychofarmaceutyków. Chciał się przekonać, czy to złagodzi symptomy choroby.

Jac w końcu zdarła z kwiatów celofan i zmięła go w rękach, ale głośny szelest nie wytłumił głosu matki.

„Wiem, że to dla ciebie trudne, kochanie. Przepraszam cię".

Gałązki, ułożone w urnie pod witrażowym oknem na zachodniej ścianie, wypełniły powietrze swoją wonią. Jac wolała ciemne, drzewiaste zapachy. Ostrych przypraw korzennych i piżma. Mchu i pieprzu, z lekką tylko nutką róży. Ale ten słodki zapach jabłoni był ulubionym jej matki, więc co roku przynosiła świeże gałązki, które przypominały jej o wszystkim, za czym tęskniła.

Niebo pociemniało. Nagły ulewny deszcz zastukał o szyby. Jac przykucnęła na piętach przed urną, wsłuchana w dźwięk kropli spadających na dach i bijących w okna. Zazwyczaj ciągle gdzieś się śpieszyła. Żeby zmienić otoczenie. Nie stać w miejscu. Umknąć przed nudą, która zachęcała do przesadnej kontemplacji niewłaściwego rodzaju. Jednak tutaj, w tej krypcie, raz w roku, odczuwała niezdrową ulgę, wnikając w swoje lęki, żal i rozczarowanie. Tu, w tej otchłani, w smutnym błękitnym świetle, mogła po prostu usiąść spokojnie i przejmować się za bardzo, zamiast nie przejmować się wcale. Mogła puścić wodze wyobraźni. Nie walczyć z wizjami, nawet jeśli ją przerażały. Tylko raz w roku. Tylko tutaj.

„Kiedy byłam mała, wierzyłam, że to światło jest pomostem, po którym mogę przejść ze świata żywych do świata umarłych i z powrotem".

Jac niemal czuła, jak matka gładzi ją po włosach, przemawiając cichym szeptem, jak wtedy, kiedy kładła ją do łóżka. Zamknęła oczy. Odgłosy burzy wypełniły ciszę i Audrey przemówiła jeszcze raz.

„Dla nas tym właśnie jest, prawda, kochanie? Pomostem?".

Jac nic nie powiedziała. Nie mogła. Nasłuchiwała kolejnych słów matki, ale słyszała tylko deszcz, a potem dobiegł ją zgrzyt zawiasów, gdy otworzyły się ciężkie drzwi z kutego żelaza i szkła. Odwróciła się. Do środka wpadł podmuch zimnego wiatru. Jac ujrzała cień mężczyzny i przez chwilę nie była pewna, czy to także nie jest złudzeniem.